

Jak miasto Błonie stało się moim miejscem zamieszkania?

Zanim przejdę do tego okresu wspomnę o spędzaniu moich studenckich wakacji w Polsce, bowiem byłem wówczas studentem Leningradzkiego Instytutu Mechaniki Precyzyjnej i Optyki. W naszym domu były zawsze bardzo skromne warunki. Czwórka uczących się chłopców, mama i nasze życie musiały wystarczyć skromne zarobki taty. Mój wuj był inspektorem melioracji na powiat pruszkowski i zwykle mnie oraz młodszego o rok ode mnie brata „przymuszał” do pracy w wakacje, aby nieco odciążyć nasz domowy budżet i zarobić na swoje potrzeby, na przykład, na ubranie. A więc pracowałem ze studentami wydziału melioracji Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (dla nich to była praktyka uczelniana) przy budowie wałów wiatrowych w Łomiankach, czy też przy udranianiu rowów melioracyjnych w okolicach Nadarżyna, a moje zajęcie było nieskomplikowane – byłem zwykle rachmistrzem. Nie wiedziałem jeszcze, że w przyszłości będę mieszkał w Błoniu, pracowałem również na tych terenach w Passie, Radzikowie przy udranianiu rowów na polach przy rzece Utrata, dojeżdżałem codziennie rowerem z Milanówka, bowiem tam mieszkałem w okresie wakacyjnym u znajomych wuja. Na terenie Passu, Błonia, Radzikowa nadzór nad pracami melioracyjnymi sprawował pan Rybka. W późniejszym okresie, kiedy byłem już pracownikiem ZMP okazało się, że to był ojciec jednego z naszych znanych wietnych narzeczonych – pana Mieczysława Rybki. Pamiętam tam dwie wówczas małe córki pana Mieczysława – Wioletta i Iwonka, które spędzały czas u dziadka i babci Rybków. Zapamiętałem dobrze Iwonkę z fartuszkami, na którym była myszka Miki., Z Wiolettą, już jako dorosła osobą kilka razy widywaliśmy się w latach 70. na pokładach polskich samolotów, bowiem była stewardess LOT, a pod koniec lat 90. pracowaliśmy razem w dziale handlowym naszej Mery.

Chyba w 1960 roku mój ojciec przeniósł naszą rodzinę do Stalowej Woli, bowiem uzyskał zatrudnienie w tym mieście w hucie. Moi dwaj bracia podjęli naukę w technikum hutniczym w Stalowej Woli, inny z braci ukończył technikum lotnicze w Mielcu i podjął pracę w hucie. W 1961 roku zmarł nam tata. Ja ze swoim zawodem po leningradzkiej uczelni w dziedzinie mechaniki precyzyjnej ze specjalizacją przyrządów do pomiaru czasu nie miałem powodu szukać zatrudnienia w hucie w Stalowej Woli i po pięciu latach studiów, tj. przed obroną pracy dyplomowej zawiązałem do profesora Tryliskiego na Politechnikę Warszawską z prośbą o poradę w sprawie swojego przyszłego zatrudnienia. Profesor pamiętał mnie ze swojej gościny w katedrze mojej leningradzkiej uczelni i wskazał mi zakłady, które produkują urządzenia zegarowe, a więc Zakłady Mechaniczno-Precyzyjne w Błoniu, Zakłady Mechaniki Precyzyjnej w Łodzi, Zakłady Wodomierzy „Metron” w Toruniu (ta fabryka oprócz wodomierzy produkowała również zegary kominkowe) i spółdzielnię pracy „Zootechnika” w Krakowie. Wszędzie złożyłem oferty pracy z warunkiem uzyskania mieszkania. Wszystkie te fabryki chciały mnie zatrudnić, jako specjalistę z wykształceniem w ich branży, lecz tylko fabryka w Błoniu zagwarantowała mi mieszkanie, które miałem uzyskać po około półrocznym okresie od rozpoczęcia pracy. Tak stałem się od 1 kwietnia 1962 roku błonianinem. Uzyskałem tymczasowe lokum w hotelu robotniczym przy ul. Sochaczewskiej 15 i faktycznie, po około sześciu miesiącach zatrudnienia, otrzymałem z błoniskiej fabryki „kawalerkę” (pokój z kuchnią).

Zakłady w Błoniu produkowały wówczas różne wyroby z dziedziny mechaniki precyzyjnej. Były to szybkościomierze do motocykli, tarcze telefoniczne, ale przede wszystkim mechaniczne zegarki naręczne na licencji I Moskiewskiej Fabryki Zegarków im. Kirowa. Byłem wówczas chyba jedynym specjalistą z wykształceniem teoretycznym w tej branży, więc przydatnym dla zakładu. Na stanowisku, który trwał rok byłem najpierw zatrudniony jako konstruktor przyrządów w sekcji konstrukcji przyrządów u inż. Jana Pływaczewskiego, a następnie jako technolog montażu zegarków. Moja kariera zawodowa w fabryce rozwijała się szybko. W 1966 roku zostałem zastępcą głównego technologa ds. postępu technicznego, a w 1967 roku powierzono mi biuro konstrukcyjne na stanowisku głównego konstruktora zakładu. Pięćdziesięcioletni historia zakładu i na tym tle dzieje mojej pracy zawodowej

opisałem w książce „Historia Zakładów Mechaniczno-Precyzyjnych „Błonie” (1953 – 2003), która ukazała się w październiku 2010 roku, a więc opowiem tylko w skrócie niektóre osobiste wspomnienia z tego okresu. Dzięki podjęciu w 1968 roku przez zakład nowej produkcji, tzw. urządzeń peryferyjnych do elektronicznych maszyn cyfrowych (czytniki i perforatory taśmy dziurkowanej, drukarki wierszowe i szeregowe mozaikowe, terminale) z nami rozstali się z produkcją zegarków i wieszaki innych drobnych mechanizmów precyzyjnych na rzecz nowego profilu produkcji. Dotychczas produkowali my wyroby, w których były także elementy elektromechaniczne, lecz bez układów elektroniki. Nie mieliśmy konstruktorów elektroników, których należało zatrudnić do nowej produkcji. Biuro konstrukcyjne z 17 osób rozrosło się do około 90 pracowników. Na uczelni leningradzkiej mieliśmy również wykłady z zakresu elektroniki, lecz była to wiedza niewystarczająca, aby być dobrym partnerem w kontaktach z moimi kolegami z pracy - konstruktorami elektronikami i programistami. Musiałem więc uzupełniać swoją wiedzę elektroniczną i do tego poświęcałem czas na samokształcenie. W nowym układzie organizacyjnym powierzono mi funkcję zastępcy głównego konstruktora ds. mechanicznych, a po upływie pewnego czasu objąłem funkcję głównego konstruktora z czterema zastępcami. Było ich „rzadko” – w biurze było około sześćdziesięciu inżynierów i około trzydziestu techników. Mojej pracy zawodowej towarzyszyło sporo słynnych wyjazdów zagranicznych. Byłem wiele razy w ZSRR, Czechosłowacji, Włoszech, Anglii, Francji. Od początku swojej pracy zawodowej w fabryce przez dziesięć lat byłem również wykładowcą w przykładowej szkole zawodowej oraz w technikum dla pracujących, kształcących kadry dla potrzeb zakładu. Byłem nauczycielem różnych przedmiotów nauczania, w tym – języka rosyjskiego, teorii mechanizmów zegarowych, technologii produkcji, rysunku zawodowego, elektrotechniki. W początkowym okresie była to potrzeba uzupełnienia moich zasobów finansowych, potem raczej dla przyjemności obcowania z młodzieżą. Ponieważ, jak wspominałem, sporo podróżyowałem za granicę, młodzież szkolna skrzętnie wykorzystywała te sytuacje prosząc po moim kolejnym powrocie z delegacji zagranicznej, abym im opowiedział o swoich nowych wrazeniach z takiej podróży. Jeszcze i dzisiaj spotykam się w różnych sytuacjach ze swoimi wychowankami, którzy mają od dawna rodziny i jest to sympatyczna wymiana szkolnych wspomnień.

Od 1968 roku byłem częściej w Moskwie, bowiem kilka razy w roku jeździłem tam na uzgodnienia techniczne w sprawie dostaw termostatów do samochodów ciężarowych, produkowanych przez fabrykę samochodów w Togliattik. Kujbyszewa, jak również jako przewodniczący polskiej delegacji dla kilku zakładów naszego zjednoczenia Mera na rad specjalistów tzw. Jednolitego Systemu Elektronicznych Maszyn Cyfrowych krajów RWPG. Takie ciekawe zajęcia techniczne były wynikiem mojej dobrej znajomości języka rosyjskiego oraz zagadnień technicznych, jako głównego konstruktora fabryki. Dawało to mi pewną satysfakcję zawodową, a Rosyjscy partnerzy niejednokrotnie dawali mi do zrozumienia, że jestem trudnym dla nich i dobrze przygotowanym zawodowo partnerem do negocjacji handlowych i technicznych. W Moskwie mieszkaliśmy najczęściej wraz z osobami z delegacji w dużym kompleksie hotelowym „Rossija” na około dziesięć tysięcy miejsc, w pobliżu Kremla. Podczas jednego z pobytów w „Rossiji” w moim pokoju hotelowym rozległ się telefon. Zadzwońnię Lena (Helena). Miałem sympatię na leningradzkich studiach o tym imieniu i pomyślałem sobie, że Lena przypadkowo mnie odnalazła. Okazało się, że to była inna Lena, z mojej grupy na naszym wydziale na uczelni. Lena „namierzyła” mnie w recepcji hotelu, a była w dużej grupie specjalistów z leningradzkiej fabryki, produkujących kompleksy obliczeniowe do zarządzania, w tym hotelami. Byli to wieszaki absolwenci mojej uczelni, z którymi uczyłem się około dziesięć lat temu wstecz. Tak nieoczekiwane dla mnie przypadkowe zdarzenie losu sprawiło, że od tego momentu miałem możliwość systematycznego widzenia się z moimi przyjaciółmi z uczelni. Były to spotkania w naszym starym studenckim stylu na dwudziestym drugim piętrze hotelu, gdzie moi

znajomi uruchamiali komputerowy kompleks do zarządzania hotelem „Rossija”. Były więc do prymitywne poczynienia z jak rybk z konserwy i „mocnym” napojem, wspólne wypadki w czasie mojego ograniczonego pobytu na koncerty, do muzeów i inne atrakcje. Po jednym z takich spotkań przypadło mi w udziale odwiedzić do moskiewskiego domu pewnych znajomych moich leningradczyków. Było już po północy, wyszliśmy na pobliski Plac Wierdłowa w poszukiwaniu taksówki. Jedna z nich nie zatrzymała się, bowiem był to czas zmiany dyżurów moskiewskich „taksiarzy”. Na Placu Wierdłowa zajęła polewaczka. Należy przyznać, że dzięki codziennemu czyszczeniu i polewaniu moskiewskich ulic były one utrzymywane we wzorowej czystości. Zatrzymaliśmy kierowcę i zgodził się on zawieźć moją podopieczną pod jej mieszkanie w okolicy wieży Ostankino, a więc do daleko od hotelu „Rossija”. W czasie jazdy zwracał się do mojej „podopiecznej” - córeczko, a do mnie – synku. W drodze powrotnej zorientował się z mojego „twardego” rosyjskiego akcentu, że jestem obcokrajowcem. W rozmowie wyjaśnił, że jestem Polakiem i zaczął opowiadać swoje czasy wojenne, a był wówczas osobistym kierowcą marszałka Koniewa i swój opowieść skoncentrował na wyzwolaniu Polski spod niemieckiej okupacji. Tak polewali my z sympatycznym kierowcą moskiewskie ulice do czwartej nad ranem i serdecznie poścignęliśmy się.

W czasie moich delegacji do Moskwy w gronie przedstawicieli kilku polskich zakładów, które również miały dostarczać zespoły do wołoskiej fabryki samochodów w Togliatti czy sto nam towarzyszył sympatyczny pracownik naszego zjednoczenia „Mera” - Bogdan. Najczęściej mieszałem z nim w jednym pokoju hotelu „Rossija”. Kiedy, w czasie jednego z pobytów, miałem załatwione przez moich leningradzkich znajomych bilety na koncert. Bogdan nie skorzystał z propozycji, został w hotelu i wieczór spędził w hotelowej restauracji. Mieszkał wówczas w pojedynkę. W nocy obudził mnie telefon kierownika naszej delegacji z informacją, że Bogdan leży w swoim łóżku chyba nieprzytomny i zakrwawiony i że trzeba go za niestosowne zachowanie odesłać wcześniej do kraju. Wszedłem do pokoju Bogdana i widziałem go w białym swetrze z zakrwawionym kołnierzem, z granatowym podbitym oknem. Stanowczo zaprotestowałem, bowiem Bogdan powiedział mi, że w długim korytarzu hotelowym ktoś z tyłu go uderzył i okradziono go z pieniędzy i z paszportu. Pierwszą moją reakcją było zgłoszenie do milicji utraty paszportu, która w takim potężnym kompleksie hotelowym miała swój posterunek, gdy bez tego dokumentu nie był możliwy wylot do Warszawy. W imieniu swojego kolegi sporządziłem w języku rosyjskim meldunek do milicji z podaniem przekazanych przez Bogdana okoliczności napadu. Wezwałem lekarza hotelowego, by zbadał Bogdana. Lekarz wezwał karetkę pogotowia, aby stwierdził w szpitalu, czy nie ma wstrząśnienia mózgu. Na wylot do Warszawy trzeba było w naszej ambasadzie szybko załatwić jednorazowy paszport konsularny. Przed wyjazdem zawitaliśmy z Bogdanem na ten sam hotelowy posterunek milicji dla wyjaśnienia, czy znaleźli sprawców i czy odnalazł się paszport. Po naszym wcześniej złożonym meldunku ład zaginęła, a kolejni dyżurnicy na posterunku milicjanci nic o sprawie rzekomo nie wiedzieli! Po jakimś krótkim czasie spotkałem się z Bogdanem w Anglii, będąc tam na odbiorze technicznych przygotowanych dla wołoskiej fabryki w specjalnym wykonaniu, dla wymagań wojskowych na rynek radziecki mechanizmów drukarek. Zwykle, po utracie paszportu trzeba było czekać na nowy dokument o miesiąc, a Bogdan miał to załatwione w kilka tygodni. W naszym zjednoczeniu pełnił rolę tzw. „opiekuna” delegacji i z takim rolem dojechał do naszej wołoskiej delegacji w Anglii. Takie zadania pełnili „opiekunowie z bezpieczeństwa” i kiedy, w czasie naszego wspólnego zamieszkania w hotelu „Rossija” mówił mi w szczeroci, że w tych organach pracował. Miał w związku z tym „bzika” na polu podsłuchów w hotelu, prawdopodobnych kontroli naszych bagaży osobistych w pokoju hotelowym podczas naszej nieobecności i zwykle, przed naszym wyjściem z pokoju w sobie znany sposób znaczył swój walizki specyficznie ukłonił się na jej wiekumini. Po powrocie poznawał po ukłonił się, czy ktoś w jego walizce „grzebał”. Rozkręcał wyciągnięte wiatła i gniazda elektryczne szukając tam aparatów podsłuchowych. Opowiadali mi koledzy z takiej moskiewskiej delegacji, w której nie uczestniczyłem, że raz Bogdan w poszukiwaniu aparatów podsłuchowych dobrał się do jednej płyty, umieszczonej pod dywanem na podłodze i odkrył cztery rubryki mocujące płytę do

podłogi. A ponieważ była to płyta mocująca dywany w pomieszczeniu położonym przy niej, więc dywan runął na podłogę i było wielkie zamieszanie oraz kłopoty dla polskiej delegacji.

W okresie służbowych wyjazdów w sprawie dostaw termostatów do wołaskiej fabryki samochodów kilkakrotnie byłem w tej potężnej fabryce w mieście Togliatti koło Kujbyszewa nad Wołgą. Terytorium fabryki było tak duże, że kursowały po nim regularnie autobusy, umożliwiającej dojazd pracowników do różnych wydziałów tej fabryki. Togliatti jest położone w odległości około stu kilometrów na wschód od kujbyszewskiego portu lotniczego Kurumycz. Pamiętam tam jedną z takich podróży. Samolotem z Moskwy leciałem do Kujbyszewa. Stewardesa posadziła mnie obok Szweda. Trzeba wiedzieć, że wówczas w ZSRR obcokrajowcy we wszystkich portach lotniczych byli jako pierwsi dowożeni autobusem lotniska na pokład samolotu ze specjalnej sali „Inturist”. Nawet, jeżeli był tylko jeden pasażer zagraniczny, przyjeżdżał po niego autobus. Radzieccy pasażerowie byli dowożeni z innej ogólnej sali odpraw. Przylecieliśmy na lotnisko Kurumycz. Zszedłem z trapu samolotu, a tu już mnie wita stewardesa tego lotniska i komunikuje, że mam podstawiony autobus, który zawiezie mnie do Togliatti. Jak ona mnie rozpoznała w tłumie pasażerów, nie wiem, ale to było nieco szokujące, chyba mieli dobry „wywiad” o obcokrajowcach. Mieliśmy jechać do hotelu „Wołga” w Togliatti. Kierownik autobusu zaczepił jakiegoś rosyjskiego pasażera z mojego samolotu i spytał, czy również może zabrać się do hotelu „Wołga”. Uzyskał zgodę, jedziemy. W połowie drogi, gdzie na pięćdziesiąt kilometrów zorientował się, że jedzie w niewłaściwym kierunku. Okazało się, że miał jechać do hotelu „Wołga”, lecz w Kujbyszewie, który był położony na zachód od lotniska Kurumycz również w odległości około stu kilometrów. Tak więc niechcący „nadrobił” sto kilometrów i dużo stracił czasu. Przyjechaliśmy do Togliatti, a tu wiosenne roztopy, całe miasto w potokach wody. U nas w Polsce już dawno zniknęła śnieg, więc z niewiedzy wybrałem się w lekkim obuwiu. Z tego powodu byłem „uziemiony” w hotelu. Na prośbę znanego mi z kontaktów służbowych przedstawiciela wołaskiej fabryki samochodów, który mieszkał wówczas w Polsce jako ich przedstawiciel do odbioru wyrobów dla fabryki z polskich zakładów, odwiedziłem jego rodzinę w Togliatti w celu przekazania od niego paczki z prezentami. W domu przyjęła mnie jego teściowa, emerytowana nauczycielka i ona z córką. Poczładowano mnie kolacją, oczywiście według rosyjskiego zwyczaju z wódką. Małżonka mojego rosyjskiego znajomego nie piła. Z teściową „wyciągnęliśmy” już sporo wódki, a ona sięga jeszcze po butelkę koniaku. Przekraczało to absolutnie moje możliwości, a teściowa z uśmiechem mówi mi, Jurek, u nas się pije! Ale miała mocną głowę do trunków emerytka!

Moja praca w serwisie blołaskiej fabryki w Moskwie.

W 1977 roku dyrekcja fabryki zaproponowała mi pięcioletni wyjazd z rodziną do Moskwy w roli kierownika serwisu technicznego fabryki na Związek Radziecki. W tym okresie fabryka już miała zorganizowane punkty serwisowe w Moskwie, Mińsku (Białoruś) i Kijowie (Ukraina). Z propozycji skorzystałem i od września 1977 roku rozpocząłem kolejny ciekawy rozdział swojego życia. Na mieszkaniowe służbowe czekałem do marca 1978 roku i w tym czasie, po każdym dorazowym powrocie z Polski do Moskwy, moim mieszkaniem zwykle był moskiewski hotel „Belgrad”. Miałem służbowego Fiata 125P. Jako szef serwisu musiałem szybko opanować topografię prawie dziesięciomilionowej Moskwy, aby wszędzie trafić w sprawach serwisowych do naszych moskiewskich użytkowników drukarek komputerowych. W moskiewskim serwisie wraz ze mną pracowało trzech serwisantów, w tym Staszek Wnęk – polski inżynier, który ukończył Moskiewski Instytut Lotnictwa, oenił się z Kati (Katarzyną) i zamieszkał w Moskwie. Ja, małżonka i nasi synowie przyjeżdżaliśmy z tą sympatyczną rodziną. Na rok przed moim wyjazdem do Moskwy, Tania – koleżanka ze studiów leningradzkich, która jako programistka pracowała we wspomnianej wyżej grupie specjalistów uruchamiających ośrodek obliczeniowy w hotelu „Rossija” poprosiła o zaproszenie jej wraz z mężem Olegiem do Polski, gdy do tego momentu nigdzie nie byli oni za granicą. Przyjechali do nas w 1976 roku. W czasie ich dwutygodniowego pobytu zwiedziliśmy Polskę naszym Fiatem 125P od Bałtyku, poprzez Pojezierze Mazurskie aż po Kraków, nocując na polach namiotowych. W grudniu 1977 roku Tania z Olegiem

zapropowali mnie, aby spędzi w ich moskiewskiej dacy na peryferiach Moskwy Bo e Narodzenie z udziałem ony i naszych dwóch synów. Słu bowego mieszkania jeszcze nie miałem, z zaproszenia skorzystali my. Tania zaproponowała mi do momentu uzyskania mieszkania, abym zamieszkał u nich na dacy. Z propozycji skorzystałem, bowiem samotny pobyt w warunkach hotelowych na dłu sz met nie był sympatyczny. Mieszkałem w pokoju z Olegiem. Oleg pracował w Małym Teatrze im. Ostrowskiego, był wokalist . licznie grał na pianinie i jak wypił kielicha, rozochocony piewał rosyjskie romanse. Na co dzie był jednak „mrukiem”, godzinami nie odzywał si . Był to wynik jego zdrowia psychicznego, leczył si z depresji. Był synem wa nej osobisto ci z otoczenia Stalina, jego ojciec w czasie wojny pełnił przy „wodzu” funkcj dowódcy obrony przeciwlotniczej Moskwy, a potem całego kraju. St d w „spadku” stalinowska dacza, w której zamieszkiwali Oleg z Tani . W tym czasie ojciec Olega ju nie ył, na zamkni tym dla przeci tnych radzieckich obywateli cmentarzu przy Nowodiewiczjem Monastyrze na jego grobie było du e popiersie, podobnie jak na wielu innych grobach prominentnych pochowanych tam osób. Tania mówiła, e jeszcze w wieku dziewi ciu lat niania w rodzinie Olega wi zała mu sznurówki w butach, był on wi c całkowicie nieprzygotowany do trudnego radzieckiego ycia w warunkach bez pomocy nie yj cego ju wpływowego ojca i zapewne st d pojawiły si jego problemy ze zdrowiem psychicznym. W owym czasie, kiedy zamieszkałem ju z rodzin w słu bowym mieszkaniu byli my po kilka razy w roku go mi Tani i Olega i ich syna Gleba, z którym bawili si moi synowie. Były to spotkania z udziałem wokalistów z teatru Olega i zaprzyj nionego z nimi diakona z moskiewskiej cerkwi. licznie piewali, szczególnie melodie cerkiewne. Ciarki przechodziły przez ciało, kiedy ci profesjonali ci wykonywali w ró nych tonacjach głosów cerkiewne melodie. Psychika Olega nie wytrzymała. Chyba w 1981 roku byłem zaproszony wraz z mał onk na jakie kolejne spotkanie do Tani i Olega z okazji wi t pierwszomajowych (Rosjanie z okazji tych wi t i rocznicy Rewolucji Pa dziernikowej mieli po kilka dni wolnych od pracy, w owym czasie nie mieli dni wolnych z okazji wi t religijnych i w wi kszo ci rodzin takich wi t nie czczono). Na dwa dni przed spotkaniem Tania zadzwoniła do nas, e zaplanowanego spotkania nie b dzie, Oleg popełnił samobójstwo skaczc z mostu na jezdni przy hotelu „Rossija”. W nast pnych okresach spotykali my si jeszcze u Tani, zazwyczaj z okazji rocznicy urodzin nie yj cego Olega. Jego przyjaciele z teatru wykonywali wówczas równie pie ni cerkiewne, w których wspominali jego imi .

Moskwa, to olbrzymie odległo ci. W ci gu dnia roboczego mo na było pokona słu bowym samochodem 300 – 400 kilometrów. Wystarczyło „zaliczy ” w obie strony lotnisko Szeremietiewo, odbieraj c znajomych słu bowych pasa erów, którzy przylecieli z Warszawy i odwie ich na lotnisko Domodiedowo w ich podró y do jakiego miasta w azjatyckiej cz ci ZSRR i przy tym powozi ich w ci gu dnia po Moskwie. Zapami tałem jeden z takich moich dni roboczych, który trwał od dziewi tej rano, a była to godzina rozpocz cia pracy, natomiast z uwagi na opó nienie odlotu z lotniska Domodiedowo wracałem do swojego moskiewskiego mieszkania około czwartej nad ranem nast pnego dnia. Jechałem zbyt szybko lewym pasem Leninskiego Prospektu i niespodziewanie, w pobli u mojego miejsca pracy namierzył mnie radarem patrol milicyjny. Uratowała mnie błyskawiczna odpowied na pytanie, dlaczego tak szybko jad . Odpowiedziałem zabawnie – „do ony, do łó ka” i sko czyło si na miechu oraz yczeniu dalszej szcz liwej podró y.

Praca w handlu zagranicznym.

Pi cioletni pobyt w Moskwie (1977 – 1982) min ł dla mnie szybko, zapewne było to wynikiem bardzo intensywnego trybu ycia. Po powrocie do kraju mój rodzimy zakład w Błoniu „sprzedał” mnie do pracy w centrali handlu zagranicznego „Metronex”, która zajmowała si eksportem wyrobów ró nych polskich fabryk naszego zjednoczenia „Mera”, w tym zakładu w Błoniu oraz importem elementów do produkcji dla tych zakładów. Dzi ki du emu udziałowi eksportu „Mera-Błonie” bło ski zakład wywalczył w „Metronexie” powstanie biura bran owego, które miało wył cznie obsługiwa potrzeby zakładu. Skierowano wi c mnie do pracy w naszym biurze bran owym, abym skutecznie „pilnował” interesów fabryki w Błoniu. Pod moim nadzorem, jako głównego specjalisty ds.

techniczno-handlowych był eksport i obsługa serwisowa zakładu na wszystkie kraje RWPG, a nasze białskie drukarki w dużych ilościach były eksportowane na te kierunki. Swoje zakłady obsługi serwisowej mieliśmy w większości tych krajów. W warszawskim „Metronexie” pracowałem w latach 1982 – 87. Przeciwnie, dwa razy w miesiącu byłem w delegacji zagranicznej w ZSRR, Rumunii, na Węgry, w NRD, Czechosłowacji, Bułgarii i nawet w Hawanie – na Kubie. I właśnie w drodze do Hawany dwa przypadki nieprzewidzianych spotkań w tej podróży ze znajomymi, co kilka razy w najbardziej nieoczekiwanych okolicznościach zdarzało mi się wcześniej w różnych miastach ZSRR i krajach RWPG czy też w Paryżu, podczas podróży służbowych. Mieliśmy między innymi dowiadanie na kanadyjskim lotnisku w Montrealu. Tam, w sali tranzytu spotkałem kolegę serwisanta z białskiego zakładu – Zygmunta Tryniszewskiego, który leciał tym samym rejsem, o czym ja i on nic wcześniej o tym nie wiedzieliśmy. Podczas spaceru po Hawanie z moim współpracownikiem Anią z „Metronexu”, która jako handlowiec pilotowała rynek kubański spotkaliśmy przy ciekawym pomniku Don Kichota, wykonanym z blachy nasz koleżankę z pracy w „Metronexie” – Maryjkę, z pochodzenia Azerkę. Maryjka, z uwagi na znajomość języka rosyjskiego prowadziła w mojej grupie handlowców białskie interesy z rynkiem radzieckim i przed moim odlotem do Hawany zaartowała, że tam zobaczymy się. Jej polski mąż był w tym czasie w grupie innych oficerów w delegacji w Hawanie na zaproszenie kubańskiego ministerstwa obrony. Zabrał w tę delegację swoją azerkę i znów okazało się, że nasz wiat jest mały, bowiem to było mało prawdopodobne spotkanie, a jednak zdarzyło się. Moja praca w centrali handlu zagranicznego była dla mnie ciekawym zajęciem, zdobyłem nowe doświadczenie zawodowe. Mój dyrektor naczelny bardzo cenił moją wiedzę techniczną, którą skrupulatnie wykorzystywaliśmy w negocjacjach cenowych na dostawy eksportowe białskich drukarek. Znałem perfekcyjnie język rosyjski i dobrą konstrukcję drukarek, dlatego miałem niepodważalne argumenty, które wykorzystywaliśmy w tych negocjacjach. W ramach wspomnianej wcześniej Rady Specjalistów Jednolitego Systemu Elektronicznych Maszyn Cyfrowych dla krajów RWPG była stworzona wyrafinowana metodologia, w której dokonywano oceny punktowej parametrów ocenianego urządzenia, produkowanego w konkretnej fabryce w zestawieniu z tzw. analogiem zagranicznym dla ocenianego urządzenia. Cena analogu zagranicznego, przeliczona na tzw. ruble transferowe oraz dokonana ocena parametrów obu urządzeń w punktach była podstawą do określenia ceny eksportowej dla sprzedawanego urządzenia. Ale w naszych urządzeniach były równie stosowane radzieckie elementy elektroniczne, które nabywaliśmy niejednokrotnie po zawyżonych cenach w rublach transferowych w stosunku do ceny ich analogów zagranicznych w twardej walucie i to we wspomnianych negocjacjach cenowych należało umiejętnie wykazać, co chyba czyniłem z powodzeniem. Zwykle, w czasie takich negocjacji cenowych przy podpisywaniu kontraktu na Międzynarodowych Targach Poznańskich, miałem potem pochwałę od naczelnego – panie Jurku, ale dobrze pan im „dował”, mamy dobrą cenę na urządzenie.

W okresie pracy w warszawskim „Metronexie” miałem sporo satysfakcji zawodowej, zarówno z udziału w negocjacjach cenowych, zwykle kończących się bardzo korzystnym dla nas wynikiem oraz w załatwieniu innych ważnych spraw dla białskiego zakładu. W 1984 roku przewodniczyłem delegacji dyrektorów technicznych i specjalistów polskich z fabryk, które stosowały w produkowanych mechanizmach zegarowych białskie przystawki balansowe. Była to grupa kilku wyrobów z dziedziny techniki zegarowej, uruchomionych u nas w latach 60., a jeden z nich - na podstawie dokumentacji fabryki w Czystopolu, k. Kazania (wówczas Tatarska Republika ZSRR). Dyrektor białskiej fabryki inż. Zygmunt Pasek poprosił mnie, abym załatwił import takich przystawek z ZSRR. Był to warunek, abyśmy na to nie zaniechali produkcji przystawek w Błoniu, bowiem zatrudnieni przy ich produkcji pracownicy byli potrzebni nam do produkcji drukarek do komputerów, bardziej opłacalnej dla zakładu. „Namierzyłem” kontakt telefoniczny na fabrykę w Czystopolu i wkrótce nasza delegacja samolotem z Moskwy wylądowała na lotnisku w Kazaniu. Była zima. Czystopol jest położony na przeciwległym brzegu rzeki Leny, wówczas zamrażał ją. Latem można tam dostać się z Kazania przeprawą promową przez rzekę. Na połowie lotniska do Czystopola (widok, dosłownie, jak „w czystym polu”) nasza piśmiennicza delegacja z Kazania przerzuciła awionetka. Na zakończenie

lotnisku na pięć osób naszej delegacji czekały trzy czarne samochody „Wołga”. Zawieziono nas do hotelu. W nocy odwiedziła nas jakaś miejscowa młodzież, która dała mi informacje o Polsce. Nazajutrz, w czystopolskiej fabryce zegarków okazało się, że przystawka, której produkcję w Błoniu podjęliśmy w 1967 roku jest nadal u nich produkowana. Były również inne interesujące nas typy przystawek, w których należało dokonać sporo zmian, aby była pełna zamiennie z naszymi wyrobami. Zaczęły się negocjacje techniczne. Rosjanie twierdzili, że nie mogą wykonać wszystkich potrzebnych nam zmian. A ja im zaczęłam wskazywać, co należy w tym celu zrobić. Zdziwili się. Byłem przecież z centrali handlu zagranicznego i chciałem „uczyć” w sprawach technicznych. Nie wiedzieli, że z mojej pracy w Błoniu mam duży doświadczenie w branży konstrukcji i produkcji mechanizmów zegarowych. Pytałem mnie, skąd znam tak dobrze język rosyjski i sprawy techniczne. Powiedziałem, że uczyłem się na leningradzkiej uczelni u profesora Akselroda, a trzeba wiedzieć, że mój profesor był wielkim i znanym autorytetem w przemyśle zegarowym, również za granicami ZSRR. Dalej sprawy potoczyły się „jak z płatka”. Uzgodniliśmy wszystko. Za niespełną pół roku radzieckie przystawki, zamiast białych, otrzymały polskie zakłady. Jak mówi, w sprawach technicznych „popadła kosa na kamień”.

Ponowny wyjazd do pracy w Moskwie.

W 1988 roku ponownie, tym razem jako handlowiec wyjechałem do pracy w Moskwie. Trzypokojowe spore mieszkanie słownie czekało już na mnie i rodzinę, z Polski były przywiezione nowe wybrane przeze mnie meble, pościel. Starszy syn studiował już wówczas na warszawskim SGPiS-ie, a młodszy uczył się w trzeciej klasie białoskiego liceum. Po wspólnym wyjeździe do Moskwy kontynuował naukę w liceum przy polskiej ambasadzie. Po zdaniu matury podjął studia w Moskiewskim Instytucie Łączności. Małżonka była z nami rok czasu korzystając z bezpłatnego urlopu i po upływie roku ponownie podjęła pracę w białoskim przedszkolu.

W naszym moskiewskim domu rozdzieliliśmy się z synem bez problemów, we dwójkę. Do moich obowiązków domowych należało pranie, prasowanie, zakup produktów żywnościowych, a z tym było dobrze, mimo potocznych problemów w sklepach. My, obcokrajowcy mieliśmy możliwość nabycia produktów dobrej jakości, zarówno żywnościowych, jak i coś z artykułów odzieżowych i przemysłowych w sklepach dyplomatycznych. Czasami pomagałem w tej materii naszym zaprzyjtanym moskwiczkom. Kupowali one również produkty żywnościowe na tzw. rynkach kołchozowych, które były w każdej dzielnicy Moskwy. Sprzedawali tam ludzie z Kaukazu, Ukrainy. Można było tam kupić bardzo dobre produkty, lecz po cenach dość wysokich. Syn miał zacięcie kucharskie i często wyrzącał mi w przygotowaniu naszych posiłków. We dwójkę nigdy nie mieliśmy problemu w przygotowaniu dla moich gości na dobrym poziomie domowego poczęstunku, na przykład, z okazji moich imienin, czy odwiedzin znajomych z kraju. W okresie od wiosny do jesieni samochodami słownymi wraz z grupą kilku białoskich serwisantów i handlowców (Tadkiem Ciur, Leszkiem Liw) jeździliśmy do miejscowości Zawidowo nad Wołgą na ryby. Zawidowo, znajduje się w odległości około 130 km na północny zachód od Moskwy, jest to droga do Sankt Petersburga. Była tam baza wypoczynku, rybołówstwa i mylistwa dla dyplomatów, a ja znałem z poprzedniego pobytu w Moskwie dyrektora tej bazy – Siemiona Siemionowicza i bez problemu, na telefon załatwiałem kilka czteropokojowych domków kampingowych sobie z synem i wielu znajomym, bez potrzeby ubiegania się o praktycznie niedostępne tam miejsca w moskiewskiej dyrekcji zarządczej dla korpusu dyplomatycznego. Był okres, kiedy mieliśmy z synem i znajomymi pokaźne sukcesy w łowieniu. W czasie weekendu od popołudniowych godzin w piątek do niedzieli łowiliśmy po 8 – 10 kilogramów dużych leszczy. Było to łowienie na grunt na wódce z dwoma przyponami i czasami łowiły się jednocześnie nie na jednym wódce dwa leszcze. Było to łowienie z brzegu, siedzieliśmy sobie na ławeczce przy miejscowym hotelu, każdy z nas miał po dwie – trzy zarzucone na grunt wódki, gawędziliśmy sobie w towarzystwie i tak spędzaliśmy czas czasami również noc. Pewnego razu na wódce noc złowił się nawet jeź, który nieopatrznie zaplątał się w wodzie w wędkę. Nie zawsze były dostępne miejsca w domkach kampingowych, bowiem to uroczone miejsce było bardzo okupowane przez

diplomatów różnych narodowości. Wówczas, mając zgodę Siemiona Siemionowicza na przyjazd, nocowali my w samochodzie w piworach, bądź prywatnie w jego domu. W upalny dzień, kiedy rybki nie brały mo na było popływa po Wołdze łodzi lub przepłyn na brzeg pobliskiej wyspy na grzyby lub jagody. Było tego w bród, bowiem nie mieli tam dostępu przeciwni Rosjanie, teren był przeznaczony dla dyplomatów i radzieckiej „wierchuszki” – w pobliżu była baza wypoczynku Breżniewa, a potem jego następców. Syn zwykle miał najlepsze wyniki w różniakach, popadały mu si czasami na w dki dwukilogramowe leszcze. Zwykle nie troszczył si o oczyszczenie ryb przed niedzielnym powrotem do Moskwy i w roju komarów zostawiał mnie z tym problemem, a sam ze znajomymi wracał do Moskwy przede mn . Tak du ilo ryb było nie sposób zagospodarowa we własnym zakresie, wi c zwykle byli obdzieleni tym „towarem” nasi moskiewscy siedzi. W bazie w Zawidowo mo na było zapolowa na dzikie kaczk, bez potrzeby posiadania pozwolenia na bro my liwsk . Na miejscu, za niedu e pieniądze dostawało si dubeltówek i naboje. Kiedy skorzystał z tego syn, obsługa bazy wywiozła go łodzi na miejsce polowania i syn pierwszy raz w yciu ustrzelił dzik kaczk , z której przyrz dzeniem mieli my problem w Moskwie, ale pomogli w tym moi znajomi. Syn wykupywał czasami na miejscu mo liwo zastawienia po 100 – 200 m sieci na ryby i wówczas łowiecki plon był znakomity.

W okresie mojej pracy w moskiewskim przedstawicielstwie „Metronexu” reprezentowałem handlowe interesy pewnej prywatnej firmy, która za pośrednictwem naszej centrali handlu zagranicznego sprzedawała do ZSRR tzw. twarde dyski do personalnych komputerów. Były to du e kontrakty o wartości dostaw rocznych na poziomie o miu milionów dolarów. W naszym stu dwudziesto osobowym przedstawicielstwie handlowym (około 100 osób stanowili serwisanci z różnych fabryk oraz około 20 osób, to handlowcy i obsługa administracyjna) miałem na owe czasy najlepszy słu bowy samochód – nowoczesn dwulitrow SONAT marki Hyundai. Był to samochód zafundowany dla mnie przez mojego warszawskiego „pryncypała” – wła ciciela prywatnej dwudziestoosobowej firmy, który swój kapitał uczciwie zarobił długoletni ci k prac na zbiorach truskawek w Szwecji i dobrze wybranym profilem produkcji jego warszawskiej firmy. Byłem wi c cz sto „szoferem” metronexowskiego przedstawicielstwa, kiedy trzeba było przywie z moskiewskiego lotniska wa ne osoby, b d „odstawi ” do domu wa nych dla interesów handlowych radzieckich oficjeli. Dwa do trzech razy w roku je dziłem SONAT do kraju, do Łodzi na przegl dy gwarancyjne, b d w sprawach słu bowych. Zwykle w drodze do kraju i z powrotem do Moskwy zatrzymywałem si na noc w motelu w białoruskim Mi sku, bo ł czna trasa Moskwa – Warszawa, to odcinek około 1350 km. Raz spróbowałem pokona odcinek Moskwa – Błonie za jeden rzut. Zaj ło to mi ł cznie z odpraw celn na granicy Brze – Terespol około 15 godzin, a wi c przeci tna pr dko wyniosła około 95 km/godzin , co stanowiło nie lada wyczyn. Ale to było przy samotnej je dzie bardzo m cz ce i niebezpieczne, bowiem po kilku godzinach takiej jazdy, chocia umilanej radiem, traciło si samokontrol nad jazd , samochód toczył si z pr dko ci 140 – 150 km/godzin i nieprzewidziana przeszkoda na trasie mogła by przyczyn wypadku.

W roku 1991 miał miejsce w Moskwie przewrót rz dowy. Jelcyń odsun ł od władzy Gorbaczowa. Przewrotowi towarzyszyła „pomoc” wojska. Mieszkałem do blisko miejsca tych wydarze , które trwały kilka dni z blokad wielu ulic w pobli u mojego zamieszkania i do pracy oraz z powrotem do domu trzeba było je dzi okr n drog . Moje moskiewskie mieszkanie, podobnie jak podczas pierwszego moskiewskiego pobytu, było czasami hotelem dla znajomych, szczególnie gdy przyje d ali słu bowo, b d prywatnie byli współpracownicy z pracy z warszawskiej centrali. Zmiany gospodarcze na przełomie 1990/91 roku w Polsce, w Zwi zku Radzieckim i w innych krajach RWPG spowodowały pot ne zmiany w handlu zagranicznym. Przej cie w stosunkach handlowych z wzajemnych rozlicze z tzw. rubli transferowych (umowna, czysto papierowa waluta w rozliczeniach) na rozliczenia w „twardych” dewizach, a wi c w walutach wymienialnych na całym wiecie, spowodowało prawie całkowity zanik naszego eksportu, bowiem Polska nie dysponowała du ymi zasobami dewiz na

zakupy w imporcie, podobnie jak Rosjanie i inni handlowi partnerzy z krajów RWPG, którzy za wolne dewizy zaczęli kupować towary w innych rodzajach, a przede wszystkim była to „tanioccha” z azjatyckich krajów dalekiego wschodu. 13 grudnia 1991 roku bank handlu zagranicznego ZSRR, bez uprzedzenia, zaprzestał opłacać dostarczane z Polski towary. Polskie firmy, które nie wiedziały o tym wysyłały jeszcze towary, w tym firma mojego „pryncypała”, przez okres około trzech lat czekały potem na swoje należności. Firma mojego warszawskiego szefa wkrótce zbankrutowała, podobne losy spotkały także zakłady państwowe, w tym moje „Mera-Błonie”, które z dnia na dzień straciły około 85% wartości produkcji. Rozpoczął się okres szybkiej redukcji stanu zatrudnienia. Ze 120 osób zatrudnionych w moskiewskim przedstawicielstwie „Metronexu” została tylko grupa około dwudziestu handlowców i pracowników administracji, w tym ja, natomiast zakłady przemysłowe zlikwidowały wszystkie swoje serwisy. Zredukowano stan zatrudnienia również w warszawskim „Metronexie” – z 570 na 270 osób. Przez nasz ekip handlowy były jeszcze czynione różne próby podtrzymania handlu, przede wszystkim w tzw. wymianie barterowej (towar za towar). Na zlecenie swojego warszawskiego szefa próbowałem sprzedawać komputery personalne importowane z Tajwanu, aparaty telefoniczne, różne sprzęty AGD, ale w końcu nic z tego nie wyszło, konkurencją między innymi polskimi firmami była wówczas bardzo duża.

Podczas tego mojego drugiego pobytu w Moskwie miałem możliwość być obecnym na kolejnych zjazdach absolwentów mojej leningradzkiej uczelni. Byłem na dwudziestopięcioletni i trzydziestolecie. To był już mój ostatni udział w zjazdach uczelnianych. W 1991 roku, na spotkaniu z okazji trzydziestolecia byłem w gościnnym domu mojego wykładowcy z uczelni Borysa Michajłowicza Marczenko. Wówczas zapoznał on mnie ze swoją pozauczelnianą działalnością w dziedzinie analiz zjawisk paranormalnych. Nie wiedziałem, że Borys Michajłowicz jest osobą znaną w tej dziedzinie w Rosji i był z nim w tej tematyce wielokrotne wywiady w telewizji rosyjskiej oraz że miał w tej tematyce wiele publikacji w specjalistycznych czasopismach. W późniejszym okresie, po moim powrocie do kraju, rozpoznałem te tematyki w Polsce i nawiązałem kontakt z redaktorem naczelnym miesięcznika „Nieznany świat”, który zaproponował publikację artykułów B.M. Marczenko.

W ten sposób, od 1999 roku w „Nieznany świat” zaczęły się pojawiać artykuły mojego leningradzkiego wykładowcy w moim przekładzie z języka rosyjskiego. Była to tematyka o tzw. „*poltergeistach*” (szumnych duchach), o sobowtórach znanych ludzi, o problematyce kontaktów pozaziemskich. W czerwcu i lipcu 2010 roku był opublikowany ostatni artykuł z tej serii – o zjawisku chronoportacji z serii „zagadki czasu”. Ja już zapomniałem o tym artykule, którego tłumaczenie przekazałem redakcji „Nieznany świat” chyba pięć lat temu wstecz. Borys Michajłowicz nie doczekał się już tej publikacji, zmarł dwa lata wcześniej, o czym napisała również redakcja „Nieznany świat”.

Pod koniec czerwca 1992 roku wracałem na stałe do kraju słusbowo SONAT, z którym musiałem się rozstać, a w Błoniu czekał na mnie kupiony w Moskwie pod koniec 1991 roku Moskiewicz 412 z „wołowatym” półtoralitrowym silnikiem. Było z nim sporo kłopotów, szczególnie pęknięty pasek klinowy napędu wentylatora chłodnicy. Po grupowych zwolnieniach w „Metronexie” trzeba było szukać sobie nowej pracy.

Moje dalsze losy zawodowe w kraju.

Przez okres około trzech miesięcy po powrocie do kraju próbowałem sobie znaleźć miejsce dla swoich zainteresowań zawodowych. Miałem bardzo dużo o przydatnych kontaktów handlowych w Rosji, lecz ich efektywne wykorzystanie w okresie krachu ekonomicznego w Rosji i w Polsce wiązało się z koniecznością posiadania środków finansowych na wyjazdy do Rosji, na drogie rozmowy

telefoniczne oraz ryzykiem utraty rodków, je li trafiło si po ich stronie na nieuczciwych partnerów handlowych. Czasami trzeba było mie rodki wolnodewizowe dla wpływowych po redników handlowych z ich strony, na tzw. prowizje za pomoc w zawarciu transakcji handlowej. Okresowo zwi zatem si z prywatn firm handlow mojego bło skiego kolegi, był nawet mój wyjazd do Moskwy, lecz partner rosyjski okazał si niesolidny i zawarty kontrakt na dostaw do Polski partii towaru nie był zrealizowany. Zatrudniłem si warszawskiej filii Towarzystwa Mened erów. Moim zadaniem było znalezienie kontaktów w Rosji na sprzeda ró nych produktów z polskich zakładów, z którymi Towarzystwo Mened erów współpracowało. Była to faktycznie bardzo mała firma, a jej szef miał po redników w kilku krajach i dobre przygotowanie handlowe. I znów du o moich telefonów oraz faksów do znajomych z ró nych miast w Rosji, du o zach cających obietnic uwarunkowanych jednak e gratyfikacjami pieni nymi w postaci prowizji, a skutek znikomy. Trzeba by by tam na miejscu z tward walut na „premie” i nie da si przy tym oszuka . Taki to był okres przej ciowej transformacji. Na pro b szefa firmy, który jak mi mówił ma zapotrzebowanie ze strony swojego bogatego ameryka skiego kolekcjonera u ywanych samolotów bojowych na zakup radzieckiego samolotu my liwskiego, bez awioniki, załatwiłem nawet ofert na zakup MIG-a 27. To było jeszcze kilka lat temu wstecz nie do pomy lenia na drodze prywatnych kontaktów cywilnych. Ofert przesłał mi znany mi z mojej pracy w Moskwie w latach 1977/82 major lotnictwa – Oleg, który pracował w wojskowej centrali zajmuj cej si handlem samolotami, rakietami, uzbrojeniem lotniczym. W czasie naszych prywatnych kontaktów w latach 80. na daczy u Staszka Wn ka i jego ony Kati pod Moskw dawał mi do zrozumienia, jaki jest charakter jego pracy, bez podawania szczegółów i ja pami taj c o tym, bez problemu uzyskałem z jego instytucji ofert w legalny ju w 90. latach sposób. Jaki był dalszy los tej wielomilionowej potencjalnej transakcji dolarowej, nie wiem. Na pytanie, czy z oferty skorzystał ameryka ski kolekcjoner, szef odpowiedział mi wymijaj co. Zespołowo pracowali my nad opracowaniem kalendarza ciennego z tzw. wyrywaniem codziennie kartkami. Praca mozolna, na ka dy z 365 dni roku trzeba było opracowa teksty dla obu stron kartki kalendarza, musiałem wi c szybko opanowa redagowanie tekstów na komputerze, bowiem do tego czasu nie miałem takich mo liwo ci, a wszyscy du o młodszy ode mnie współpracownicy firmy t technik władali biegle. Dzi ki moim rosyjskim kontaktom kalendarz miał by wydrukowany do tanio w drukarni na Krymie za po rednictwem mojego znajomego partnera z redakcji gazety „Prawda” w Moskwie. Podpisali my kontrakt, przygotowali my na wietlone klisze według wymogów drukarni i udałem si z tym materiałem do Moskwy. Wypłaciłem moskiewskiemu po rednikowi dolarow premi za po rednictwo i czekali my na efekt jego działania w drukarni na Krymie. Okazał si jednak kr taczem. Mimo wcze niejszego uzgodnienia dostarczonych materiałów dla realizacji druku stwierdził po jakim czasie, e drukarnia na Krymie nie mo e przyj naszego materiału z powodu jakich usterek i do druku nie dojdzie. Wypłaconej premii oczywi cie nie zwrócił, a ja miałem z tego całokształtu działania tylko niesmak, bowiem koszty współpracy z rynkiem rosyjskim były ju niemałe, a efekt finansowy znikomy. W tym czasie otrzymałem ofert powrotu do d wigaj cego si z upadku zakładu „Mera-Błonie” i za porozumieniem stron po dziesi ciu miesi cach zatrudnienia zrezygnowałem z pracy w Towarzystwie Mened erów.

Za namow moich bło skich kolegów z bło skiej fabryki, z którymi współpracowałem do momentu wyjazdu w 1988 roku do pracy w Moskwie, powróciłem do pracy na swoje stare „pielesze”. Do 1991 roku zakład zatrudniał w Błoniu około 2.500 pracowników, a w kwietniu 1993 roku, kiedy ponownie zatrudniłem si w bło skiej Merze było tylko 417 pracowników, cz ciowo puste hale produkcyjne i niewykorzystany park maszynowy. Zaproponowano mi organizacj biura konstrukcyjno – technologicznego z pozostałych w zakładzie 17 in ynierów i techników, zatrudnionych na stanowiskach konstruktorów i technologów. Wynagrodzenie nie było rewelacyjne, ale była to praca blisko miejsca zamieszkania i jak na razie stabilna. Jak wspomniałem wy ej około 85% warto ci produkcji, któr stanowił eksport drukarek stało si w 1992 roku „zerem”. Wielu zdolnych i

przedsiębiorczych pracowników pozakładało własne firmy, w zakładzie pozostali niezdecydowani oraz pracownicy bardzo emocjonalnie związani ze swoim dotychczasowym miejscem pracy. Było to dla całej kadry bardzo trudne zadanie. Po zniknięciu sprzętu i produktów pochodnych zadaniem dyrekcji i kadry inżyniersko – technicznej było opracowanie i opanowanie produkcji innych wyrobów na konkretne zapotrzebowania nowych odbiorców. Nie było już pomocnej ręki państwa polskiego. O dalsze istnienie fabryki trzeba było walczyć samodzielnie. Szczegóły tego trudnego dwunastoletniego okresu, a do likwidacji przedsiębiorstwa w 2003 roku są przeze mnie opisane w książce o pięćdziesięcioletniej historii Zakładów Mechaniczno – Precyzyjnych „Błonie”, o czym pisałem wcześniej. W Błonie skiej Merze pracowałem do końca istnienia zakładu. Jako szef oddziału konstrukcyjno – technologicznego, który w latach *prosperity* fabryki łicznie zatrudniał około 2200 osób musiałem doszkolić się, bowiem trzeba było opanować bardziej nowoczesne metody projektowania wyrobów, oparte o komputerowe techniki. Z satysfakcją, „I czy c” czasami przy komputerze do późnej nocy, opanowałem do trudnych technik trójwymiarowego przestrzennego projektowania konstrukcji wyrobów (3D), którą musieli opanować również moi współpracownicy – konstruktorzy. Bardzo polubiłem pracę na komputerze, opanowałem do przydatnego oprogramowania do redagowania tekstów, wyliczeń matematycznych, obróbki cyfrowej fotografii, montażu filmów amatorskich. Te dwie ostatnie umiejętności, tj. obróbka fotografii i montaż filmowy stały się moim hobby, zarówno na użytek domowy, jak i dla znajomych. W ten sposób, ze zgromadzonych począwszy od czasów szkolnych fotografii własnej produkcji powstały drukowane na komputerowej drukarce moje albumy pamiątkowe z uporządkowanymi chronologicznie fotografiami od lat młodzieńczych, poprzez lata na uczelni, dalej - ze zdjęciami rodzinnymi, z naszych wycieczek krajowych i zagranicznych, a po czasy dzisiejsze. Z filmów, robionych od 1966 roku, wówczas amatorską kamerą kliszową na taśmę 8 mm, później kamerą video powstała domowa filmoteka, przeszła ona na płyty DVD. Albumy z fotografiami, które systematycznie powstają teraz co rok, przekazuję synom, a jeden egzemplarz jest w posiadaniu moim i żony. Co rok powstaje również kilka filmów, które tak jak albumy z fotkami, są faktycznie kronikami rocznych wydarzeń. Ze swojego hobby mam natomiast satysfakcję w swoim miejscu pracy, w spółdzielni mieszkaniowej. Strona internetowa spółdzielni, fotografie ogródków spółdzielczych przy domach mieszkalnych wywieszane w spółdzielni i wysłane do właścicieli ogródków z podziękowaniami za ich estetykę, opracowanie znajomym płyty DVD z pokazem ich prywatnych fotek, to moja praca i praktyczne wykorzystanie mojego komputerowego hobby. Mam także satysfakcję ze swojej pracy w Błonie skiej Merze i z pracy w handlu zagranicznym. Zaistniałem w opisanym przez inż. Kazimierza Elazkiewicza historii naszej fabryki za lata 1953 – 73 w X tomie publikacji książkowej „Inżynierowie polscy XIX i XX wieku” pod redakcją prof. Zdzisława Mrugałskiego o historii polskiego przemysłu. W XI tomie tej publikacji, który powinien być wydany do końca 2010 roku jest dopisana przeze mnie historia fabryki do końca jej istnienia, tj. do 2003 roku. Są to „drobiazgi życia”, ale jest przyjemnie być zauważonym przez autorytety w określonych dziedzinach. Szkoda tylko, że życie tak szybko ucieka, bo można by jeszcze dużo nauczyć się nowych umiejętności w szybko rozwijającym się świecie i dużo pożytecznych rzeczy jeszcze zrobić. Z tych właśnie powodów podjąłem pracę nad przygotowaniem portalu społeczno - naukowego poświęconego naszej Błonie skiej fabryce, a przede wszystkim pracującym w niej ludziom.

Jerzy Bezpalko

pracownik ZMP „Mera-Błonie” w latach 1962-2003